



Kryminał z myszką

81

Zdrajca

Anna
Kłodzińska

Anna Kłodzińska

ZDRAJCA

Kryminał z myszką – Tom 81

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67769-15-0

Copyright © Christofer Kłodzinski

Pierwsze wydanie: MON, Warszawa 1984, seria „Labirynt”

Rozdział 1

Obudził się jak zwykle przed szóstą i leżał jeszcze chwilą bez ruchu, goniąc myślami resztki snu, tak kolorowego jak miasto i tak obezwładniającego jak uśmiech Amary. Sen był podobny do całego wieczoru w tym niewielkim lokaliku przy Sukhumvit Road, ulicy kipiącej od zgiełku tysięcy samochodów, dusznej od spalin, bodaj najruchliwszej w całym Bangkoku, zatłoczonej do niemożliwości, oślepiającej neonami.

Kiedy przyjechał tu ponad rok temu, pierwszego wieczoru wyszedł sam na Sukhumvit Road i przystanął, oczarowany, na brzegu chodnika; znał już wprawdzie kilka metropolii, ale to było w Europie – inny kontynent, inny świat. Bangkok, zwłaszcza w śródmieściu, na pierwszy rzut oka wydawał się podobny do tamtych: też nowoczesne wieżowce, beton, szkło, aluminium, ogromne arterie, szerokie aleje, sznury samochodów najśłynniejszych firm, kolorowe neony. Tu było jednak prócz tego piekło tropiku, czterdzieści stopni i wilgoć niemal stuprocentowa, klimat wyciskający z każdego faranga – tak nazywają tu białych obcokrajowców – ostatnią kroplą potu. Potworny upał zmieszany z powietrzem zatrutym spalinami chwytał za gardło i dusił płuca.

A jednocześnie – tu było pięknie. Osołomiła go cudowna, bujna roślinność, feeria barw, nie znane dotychczas kwiaty i krzewy, zwłaszcza setki, może tysiące odmian orchidei. Potem dowiedział się, że te wspaniałe królowe kwiatów (tak, tutaj nie róża króluje) zajmują w tajlandzkim eksporcie wcale niebagatelne miejsce.

Po kilku miesiącach przyzwyczał się do niespodzianek tego pięciomilionowego miasta, gorzej było z aklimatyzacją. Pot łał się z niego strumieniami, wypijał niezliczone ilości wody mineralnej, coli, herbaty i kawy; świeża bawełniana koszula natychmiast mokra przylegała do ciała. Myślał wtedy, że chyba nie wytrzyma. Stwierdził jednak z pewnym zdumieniem, że kierownik jego biura, magister Stanisław Podbielski, znosi straszliwy klimat zupełnie dobrze. Prawda, że mieszkał w Bangkoku już trzeci rok. Więc może i on się w końcu przyzwyczai? Obserwował też innych pracowników „Pantexu”; jeden przyjechał razem z nim, reszta tkwiła na placówce od trzech, czterech lat. Chudy, zasuszony ekonomista Paweł Miarecki z wiecznie przylepionym do ust ironicznym uśmieszkiem powiedział kiedyś, tak w przestrzeń, niby nikogo nie mając na myśli:

– Niektórym to się wydaje, że przyjechali do Tajlandii na wypoczynek. I dziwią się, że tu trzeba pracować.

– Pan o mnie? – zaperzył się, poczerwieniał.

– Ależ skąd, kolego Leopoldzie. Panu się nie wydaje. Pan jest o tym przekonany.

Tamci roześmiali się, któryś popatrzył na niego ze współczuciem i rzekł:

– Człowieku, nie przejmuj się. Paweł tak zawsze. Jak komuś przynajmniej raz dziennie nie dotnie, sądzi, że stracił dzień.

Teraz, po roku pobytu, leżąc rankiem na tapczanie przypominał sobie tamtą rozmowę. Nie czuł już żalu do Miareckiego, polubił go nawet. Zaprzyjaźnił się też – no, może przyjaźń, to za wielkie słowo – z resztą zespołu centrali handlowej „Pantex”. Wyjątek stanowił kierownik. Właściwie sam nie mógł zrozumieć, dlaczego od pierwszej chwili Podbielski budził w nim niechęć, którą musiał rzecz jasna starannie ukrywać; zatargi z szefem nie wyszłyby mu na dobre.

A do pracy w Bangkoku już właściwie się przyzwyczał, miała przecież ogromne zalety. Największą z nich były zarobki. Otrzymywał dwadzieścia cztery tysiące bahtów, co w przeliczeniu na dolary wynosiło około siedmiuset pięćdziesięciu. Wprawdzie w porównaniu do tutejszych bogaczy, zarówno tajlandzkich, jak i obcokrajowców, zwłaszcza Amerykanów, nie stanowiło to żadnego majątku, no, ale z nimi nie mógł i wcale nie musiał się porównywać. Jemu wystarczyło na opłacenie dwupokojowego mieszkania, na dobre wyżywienie, choć tak inne niż w kraju, nawet na pomoc domową w postaci starszej, tęgiej, zawsze uśmiechniętej

Tajki, która przychodziła sprzątać i z którą wciąż jeszcze porozumiewał się na migi. Ona nie знаła żadnego obcego języka, on nie był w stanie zapamiętać tutejszego. Każdą samogłoskę Tajowie wymawiali raz tak, raz inaczej, podobno aż na pięć sposobów, a za każdym razem było to zupełnie inne słowo, należało tylko je „zaśpiewać”, jak twierdził Miarecki. Rzeczą polegała nie tyle na akcencie, ile na wysokości tonu głosu.

Owszem, próbował uczyć się tego „śpiewania”, nie miał jednak dobrego słuchu i każdą taką próbę dobrodusza Tajka czy uprzejmy Taj – oni wszyscy byli uprzejmi, uśmiechnięci, pełni pogody – przyjmowali z zażenowaniem, gdyż nie rozumieli, o co farangowi chodzi. Dlatego wołał już na migi.

Zależało mu więc na pracy w „Pantexie”. Szybko wciągnął się w przekazane mu obowiązki służbowe, które zresztą nie były zbyt skomplikowane, wymagały jedynie pewnego doświadczenia i przygotowania w handlu i dyplomacji. Po studiach w Szkole Głównej Służby Zagranicznej sądził, że natychmiast będą się o niego ubiegać nasze placówki w atrakcyjnych krajach. Ale tak nie było. Rozpoczął skromnie, jako referent w jednym z biur eksportowo-importowych w Warszawie. Uzupełniał studia języków obcych, regularnie, punktualnie stawiał się rano do pracy, wychodził jeden z ostatnich. To powinno było ściągnąć na niego uwagę przełożonych.

W tym też czasie zaangażował się w robotę społeczną i polityczną, pilnie przestrzegając zasady: pomagaj – nie narażając się władzy. Po sześciu latach doczekał się awansu i wyjazdu do Tajlandii.

*

Spojrzał na zegarek, czas wstawać. Nie mógł zapomnieć o Amarze. Myślał o niej stojąc pod chłodnym prysznicem, ubierając się i przy śniadaniu. Amara... Smukłe, jasnobrązowe ciało, drobne ręce, niewiarygodnie piękne oczy, uroczy uśmiech. Lokal był rzeczywiście niewielki, ukryty za gęstymi krzewami dekoracyjnych gardenii i bougainvillee – nie znał ich polskiej nazwy, może jej zresztą wcale nie było. Niski, parterowy pawilon z mnóstwem drewnianych ozdób. Byłby go minął, jak setki podobnych, jak słynne salony masażu, o których dotąd wiedział tylko tyle, że trzeba tam stracić co najmniej tysiąc bahtów, a chociaż stać go było i na to, wołał oszczędzać. Poza tym czuł jednak pewne skrępowanie wobec tej szczególnej formy „obsługi”.

Ale małego lokaliku nie udało mu się ominąć. Amara stała przed drzwiami, pod kołysanym lekkim powiewem wiatru kolorowym lampionem, i mogło się wydawać, że po prostu czeka na niego. Uderzony tym niespodziewanym odkryciem zatrzymał się na chwilę... A potem już na wszystkie wahania i skrupuły było za późno. Piękna Tajka zawładnęła nim w ciągu kilku minut.

Gdzieś koło północy nagle otrzeźwiał, usiadł na szerokim tapczanie pokrytym jedwabistą, złotawą materią i spojrzał na leżącą przy nim dziewczynę. Nie spała albo też zbudziła się właśnie w tej chwili.

– Muszę iść – powiedział po angielsku, Amara władała tym językiem zupełnie poprawnie, zawahał się, potem niepewnie sięgnął do portfela. Ale przytrzymała jego rękę i potrząsnęła głową przecząco.

– Jakże to? Nic? – spytał zdumiony, choć zadowolony. – Dlaczego?

Uśmiechnęła się wdzięcznie.

– I love you – szepnęła. – Od ciebie nie mogę wziąć pieniędzy.

– Następnym razem przyniosę ci jakiś prezent. Coś ładnego. Powiedz, co byś chciała?

– Przyjdź prędko. Prezenty niepotrzebne. Będę czekała.

Ucałował ją, pogładził gęste, czarne włosy rozrzucone na poduszkach.

– Na pewno przyjdę – zapewnił gorąco. Przemknęło mu przez myśl, że jak za darmo, to może nawet jutro. Ubrał się i już miał wyjść, kiedy coś mu się przypomniało.

– Słuchaj, a ten tam... no, ten stary przy wejściu. Ile mu trzeba dać?

– Nic – znowu się uśmiechnęła. – On ci się tylko ukloni. – A potem dodała, trochę niedbale: – To mój ojciec.

Zmieszał się, miał ochotę wymknąć się przez okno. Pomyślał, że Bangkok wciąż jeszcze miał dla niego różne niespodzianki, na które nie wiedział, jak zareagować.

Ale starego Taja nie było przy drzwiach, nie spotkał też nikogo przechodząc przez małą salkę restauracyjną z bufetem i estradą dla trzyosobowej orkiestry. Ostatni goście opuścili widocznie lokal i personel poszedł spać. Noc była odrobinę chłodniejsza niż dzień. Od Chao Phraya – ciemnej, brudnej, szeroko rozlanej rzeki, która jak Wisła Warszawę dzieli Bangkok na dwie części: lewą, pełną bogactw i wspaniałości, z nowoczesną architekturą i najstarszymi zabytkami świątyń, oraz prawą, z drewnianymi domkami na palach, dzielnicę Thonburi, niczym Wenecja poprzecinaną mnóstwem kanałów, ubogą, pełną slumsów – od tej rzeki, a może aż od Zatoki Syjamskiej przyływał słaby powiew wiatru. Niósł zapach lotosów i drzew durian, gnijących warzyw, ryb, ostrą woń nie znanych krzewów i słodką – gajów pomarańczy.

Kiedy przystanął na chodniku, natychmiast zatrzymała się przy nim trójkołowa ryksza z głośno warczącym silnikiem, zaraz potem druga. Tajscy kierowcy spoglądali wyczekująco, jak zawsze z uśmiechem; farang nie może, nie powinien chodzić, farang musi dać zarobić rykszarzom. Farang jest przecież bogaty.

Był potem w lokaliku jeszcze trzy razy, coraz bardziej przyciągała go śliczna dziewczyna, która nie chciała od niego nic, dając w zamian całą siebie. Czwarty raz poszedł właśnie wczoraj. Wrócił późno, spał za krótko, aby czuć się wypoczętym, lecz nie żałował tych godzin. Przez cały ten czas ani na chwilę nie pomyślał o pozostawionej w Warszawie żonie i półtorarocznej córce. Właśnie ze względu na dziecko nie zabrał do Tajlandii swej rodziny; zbyt wielka różnica klimatu mogła źle wpłynąć na zdrowie i rozwój małej Danusi.

*

Biuro „Pantexu” mieściło się w długim, białym piętrowym pawilonie. Przed domem i dokoła niego rozciągał się pięknie utrzymany trawnik, na którym rosły dwa ogromne drzewa yang, wysokie na prawie trzydzieści metrów, a także mnóstwo ozdobnych krzewów i, oczywiście, orchidee; do wejścia prowadził betonowy podjazd, nad frontowymi drzwiami wznosił się daszek, niezbędny w porze deszczowej; z tyłu za trawnikiem stało na parkingu kilka samochodów. Teren polskiej placówki dzieliła od ulicy brama z wykutymi rzeźbami.

Nie było tu jedynie domku dla duchów, czyli phi, małej świątynki stojącej przy każdym budynku, zarówno przy ekskluzywnym hotelu, jak instytucji, prywatnej willi czy ubogim domostwie. Te najróżniejsze pawiloniki, pilastry i kolumnienki, obwieszane barwnymi wstęgami, koralikami, z posążkiem bóstwa – czasem na słońcu – przypominały Polakom swoje gołębniki, choć różniły się bogactwem ozdób i zapalonymi świeczkami, albo też przydrożne figury ze świątkiem.

„Pantex” nie chciał phi ze względów zasadniczych. Leopold zastanawiał się czasem, czy Tajlandczycy nie mają im tego za złe. Nie sposób było jednak o tym się przekonać, gdyż interesanci-tubylcy wykazywali nieodmiennie ogromną uprzejmość, na ustach gościł im życzliwy uśmiech, a na powitanie i pożegnanie składali ręce jak do modlitwy, co w pierwszych dniach pobytu budziło w Europejczykach niekłamane zdumienie. Potem, choć z pewnym trudem, nauczyli się tego gestu, w zamian Tajlandczycy grzecznie ściskali podawane im dłonie.

Leopold wszedł do holu, zajął przez uchylone drzwi do saloniku po lewej stronie, gdzie przyjmowano interesantów, ale nie znalazł tam nikogo. Na prawo od holu, wzdłuż korytarza, rozmieszczone były pokoje pracowników biura i urządzenia techniczne, które obsługiwał niemłody, siwowłosy radiotechnik. Gabinet kierownika i reszta pokoi znajdowała się na piętrze. W przybudówce za pawilonem mieszkał z rodziną dozorca, Polak.

– Szef cię szukał – powiedział do Leopolda jego najbliższy kolega, jasnowłosy, pełen temperamentu i optymizmu, Janusz Barnicki. Przyjechali do Bangkoku jednego dnia, przez kilka pierwszych miesięcy mieszkali razem w hotelu „Ra – Jah” przy Sukhumvit Road, póki nie sprzykrzył im się wspólny pokój, a także póki niemal jednocześnie nie zapragnęli oszczędzać. Wynajęcie mieszkania, nawet kilkupokojowego, u jakiegoś Taja, zwłaszcza przy skromniejszej ulicy, było tańsze niż hotel, nie nastroczało pokus wydawania bahtów. „Ra – Jah Hotel” miał nocny klub, ekskluzywną restaurację, sklep, nawet salon masażu, w którym każdy z nich potajemnie pragnął chociaż raz się znaleźć, ale osobno i żeby tamten drugi nie wiedział.

Leopold spojrzał na zegarek.

– Przecież się nie spóźniłem – mruknął. – Czegoś przylazł tak wcześnie? Bo szef, to wiadomo, nadgorliwiec.

– Zbudziłem się o piątej i już nie mogłem zasnąć. Koniec marca, zaczyna się najgorszy okres. Susza i potworny upał.

– Tak, ale nie wiem, czy to mimo wszystko nie lepsze od pory deszczowej. Wiesz, ta wilgoć w połączeniu z wysoką temperaturą, te ulewę natychmiast wysychające... Jak w łaźni. Były jakieś listy z kraju? Ach, prawda, za wcześnie na pocztę. Idę na górę.

Lubił czystą, lakierowaną biel schodów, wysłanych jasnogranatowym dywanem. Szedł wolno, przesuwając palcami po drewnianej poręczy. Po raz któryś pomyślał, że biuro jest ładnie, gustownie urządzone i choć nie mogło w żaden sposób równać się z przepychem takich kolosów handlowych, jak The Karnasuta General Assembly Co. czy The Siam Chemicals Co. Ltd. – to przecież w jakiś sposób konkurowało z nimi dobrym smakiem wewnątrz, barwnymi reprodukcjami polskiego malarstwa, nawet cepeliowskimi pamiątkami, które tutaj miały swoje wzięcie.

Zastukał lekko, uchylił drzwi. Podbielski siedział za biurkiem i rozmawiał z kimś przez telefon. Rzucił na wchodzącego przelotne spojrzenie, wskazał fotel. Mówił po tajsku. Leopold usiadł, przysłuchiwał się, ale nie chwycił sensu, nie rozumiał prawie żadnego słowa. Mimo woli odczuł podziw dla tego człowieka, który władał swobodnie trzema europejskimi językami, mógł porozumieć się z Japończykiem, a w ciągu ostatniego roku nauczył się dość biegle po tajsku. Zdolny, to on jest – myślał, patrząc na śniadą, szczupłą twarz kierownika, na jego regularne rysy i ciemne włosy mocno rzadniejące od czoła. Byłaby to bez wątpienia twarz pociągająca, gdyby nie chłodny wyraz szarych oczu. Paweł Miarecki powiedział kiedyś: „Jeżeli w tym cholernym klimacie jest cokolwiek zimnego, to tylko dwie rzeczy: piwo Singha i spojrzenie naszego szefa”.

Podbielski odłożył słuchawkę.

– Panie Owiczak, trzeba dziś jeszcze porozumieć się z przedstawicielem The Medicals Company, inżynierem – zerknął do leżących przed nim papierów – Chanthornem. Mówi po angielsku. Jest zainteresowany naszym antybiotykiem, nie pamiętam pełnej nazwy chemicznej, weźmie pan sobie prospekt Zakładów Farmaceutycznych „Polfi”. Niech on... albo lepiej, niech mu pan zasugeruje to i owo. Trzeba to zrobić szybko, bo konkurencja jest duża.

Leopold zapisał nazwę firmy i nazwisko inżyniera. Chciał spytać, gdzie mieści się The Medicals, ale bał się, że kierownik odeśle go do książki telefonicznej. Podbielski nie lubił zbędnych pytań. Toteż zdziwił się, kiedy szef wyjaśnił z własnej inicjatywy, że firma znajduje się przy Suksawad Road.

- Gdzieś na peryferiach – dodał. – Niech pan weźmie samochód.
- Daje mi pan wolną rękę w propozycjach kontraktu?

To było ryzykowne i zabrzmiało jak wyzwanie. Nie po raz pierwszy Leopold próbował wychylić się spod służbowej kurateli. Jego plany na przyszłość krystalizowały się powoli, lecz jasno, choć do ich realizacji było jeszcze bardzo daleko. Podbielski popatrzył na niego, jakby namyślał się nad odpowiedzią, a potem rzekł:

– Postąpi pan ściśle według zasad, które określone są w umowie z dyrekcją „Pantexu”. Jeżeli warunki pracy przestały panu odpowiadać, znajdę natychmiast dziesięciu kandydatów na pańskie miejsce. Klimat jest tu wprawdzie podły, ale zarobki i możliwości podnoszenia kwalifikacji nie do pogardzenia. Nawiasem mówiąc, ale to już tak prywatnie, radziłbym nie odwiedzać nocnych lokali. Zwłaszcza tureckich łaźni, czy jak oni to nazywają, salonów masażu. Drogo i niebezpiecznie.

– Pan mnie śledził?! – wybuchnął z gniewem. I natychmiast dałby wiele, żeby cofnąć ten okrzyk. Zaciął usta, podniósł się z fotela. – Mogę odejść?

– Oczywiście. I żeby już wszystko było jasne: nie śledziłem pana, nie miałbym na to ani czasu, ani ochoty. Ostrzegłem, bo przebywam tu dłużej, jestem od pana starszy i na pewno mam więcej doświadczenia jeżeli chodzi o tropiki. Nie wtrącam się do sposobu, w jaki spędza pan wolny czas. Dorosły człowiek sam odpowiada za siebie.

Leopold wrócił do swego pokoju blady z gniewu i upokorzenia. Barnicki przyglądał mu się chwilę, w końcu rzekł:

– Znowu zadarłeś ze starym. O co poszło tym razem?

– O nic! – warknął. – Przeze mnie. Wykład o moralnym prowadzeniu się w tropikach. Jak mi się tu nie podoba, to mogę sobie jechać do kraju. Mam oszczędzać, bo tu są możliwości.

– Poldek, opanuj się! Coś się tak na niego zawzięł? Czy nie rozumiesz, że w dużym stopniu od niego zależy twoja praca w Bangkoku? Może nawet tylko od niego. Wystarczy, że pośle list do centrali. Jemu uwierzą, nie tobie.

– Wiem. I właśnie dlatego szlag mnie trafia.

– Człowieku, przecież wygrałeś los na loterii. Czy ty nie rozumiesz, co dla ciebie znaczy pobyt w Tajlandii. Kim byłeś w Warszawie? Zwykłym urzędniczyzną, jakich setki, tysiące. Tu możesz odłożyć kupę forsy, wrócić mercedesem czy pontakiem, masz świetny start do kariery w handlu zagranicznym albo w dyplomacji. Podbielski, jaki jest, taki jest, ale to bardzo dobry fachowiec, w centrali go cenią. Kierował filią „Pantexu” w Tokio, potem gdzieś w Malezji. Jego pozycja jest mocna, twoja na razie słabiotka. Poldek, nie przegrywaj swojej szansy!

Owiczak milczał, nerwowo zaciągając się papierosem. W końcu przygniótł niedopałek w ćmielowskiej popielniczce i odparł już spokojnie:

– Masz rację. Trzeba zaciąć zęby i starać się, aby pan szef nie miał mi nic do zarzucenia. – Wstał, włożył do teczki prospekty i notatki, zamknął biurko. – Jadę do The Medicals, na polecenie kierownika. Biorę szarego volkswagena.

– Będiesz po południu?

– Chyba tak. To zależy, ile czasu zajmie mi rozmowa w firmie. Mogę nie zdążyć przed jedenastą, a potem trzeba czekać aż do piątej, żeby ten piekielny upał zelżał.

*

Inżynier Chanthorn wyraził chęć dłuższej rozmowy, więc Leopold zaprosił go na lunch; takie rzeczy były służbowo przewidziane i dostawało się na nie dodatkowe fundusze. Rzecz jasna, w granicach przyzwoitości i posiadanych przez „Pantex” środków dewizowych. Toteż

Owiczak nie wybrał „Erawan Hotelu” ani jemu podobnych, lecz nieco skromniejszy lokal o wdzięcznej nazwie „Fa Mui”, co było imieniem błękitnej orchidei.

Do krewetek, homarów i innych skorupiaków Leopold zdążył się przyzwyczaić, wyjąwszy ślimaki, do których czuł wyjątkową awersję. Polubił przyprawy – chili, korzenie galanga, liście kaffir lime, chętnie też jadał różne kompozycje z wołowego mięsa i jarzyn. No i owoce, których była tu taka obfitość, że nie sposób zapamiętać wszystkich gatunków i zapachów.

Chanthorn okazał się sympatycznym, bystrym, w miarę rozmownym towarzyszem przy jedzeniu. Był także naprawdę zainteresowany polskim przemysłem farmaceutycznym, a że Owiczak nieźle orientował się w tym zagadnieniu, szybko doszli do porozumienia. Inżynier wybierał się do Polski, chciał jednak najpierw dowiedzieć się, jakie są nasze możliwości eksportowe, ceny i terminy. Pytał również o opakowania dostosowane do tajlandzkiego klimatu. Zaproponował zresztą pojemniki własnej firmy, na co Leopold nie mógł dać mu wiążącej odpowiedzi, gdyż przekraczało to jego kompetencje. Zdecydować powinna „Polfa”.

– Niech pan zajdzie do „Pantexu” przed wyjazdem do Warszawy – powiedział, kiedy żegnali się. – Przygotuję dla pana dodatkowe informacje.

Chanthorn uśmiechnął się, złożył dłonie gestem modlitwy, Owiczak spróbował go naśladować i dostrzegł w oczach gościa błysk zadowolenia. Miał wielką ochotę nauczyć Tajlandczyka polskich „mocnych” słów, ale w porę się powstrzymał. Zorientował się już, że ci ludzie pod uprzejmością i uśmiechami kryją dumę blisko siedemset lat liczącego narodu – wykopaliska w muzeach mówiły nawet o siedmiu tysiącach! – prymitywne żarty i wulgarne słowa tak zwanej męskiej rozmowy, popularne wśród farangów, tutaj mogły być poczytane za obrazę.

*

Wieczorem, po kolacji przygotowanej przez gospodynię, Leopold postanowił obliczyć swoje dotychczasowe oszczędności. W lutym upłynął rok od momentu, kiedy wraz z Barnickim wylądowali na międzynarodowym lotnisku Don Muang, trzydzieści kilometrów od stolicy. Ale dopiero po kilku miesiącach zaczęli po trochu odkładać „na książeczkę”, co było tutaj określeniem symbolicznym.

Początkowo dwadzieścia cztery tysiące bahtów wydawało się Leopoldowi sumą ogromną.

Nawykły dotąd do liczenia się z groszem, poczuł nagle, że stał się bogaty! Wkrótce jednak koledzy pracujący w Bangkoku od dłuższego czasu wyprowadzili go z błędu.

– Można za to żyć przyzwoicie – powiedział Miarecki. – Na wszelkie nieprzyzwoitości potrzeba drugie tyle.

Nie uwierzył, póki sam się nie przekonał. Tropik wymagał tak wielkiej ilości ubrań, skarpetek i bielizny, o jakiej nigdy nie marzył, zresztą w kraju nie byłaby mu potrzebna. Wszystko, czego się tknął, kosztowało słono. Każdy przejazd samlorem – trójkołową rykszą z silnikiem, lub komfortowym autobusem miejskim z klimatyzacją zabierał z portfela kilkadziesiąt albo i setkę bahtów. Trzeba było płacić za posiłki, gdyż „Pantex” nie miał stołówki, a każdy posiłek wymagał też kilku butelek coli, mineralnej lub piwa; wody z kranu nie było wolno pić pod groźbą złapania straszliwej ameby.

Sklepy, zwłaszcza w śródmieściu, wprawiły Leopolda w otępiały zachwyt, dostawał oczopląsu na widok towarów sprowadzanych tu ze wszystkich stron świata. Chciał kupić i to, i tamto, i jeszcze mnóstwo innych rzeczy. Kilkakrotnie posłał do kraju paczki z upominkami. Miał już doskonały aparat fotograficzny, kamerę filmową, dwie lotnicze walizy z tak wyprawionej skóry, że prawie nic nie ważyły. W Bangkoku znajdowały się szlifiernie drogich

kamieni i można było na wystawie oglądać prawdziwe dzieła sztuki, które kosztowały tysiące, nawet setki tysięcy dolarów.

Więc Leopold chodził lub jeździł, patrzył, jadł, kupował. A teraz leżał przed nim na stoliku rezultat pierwszego roku pracy w Tajlandii, a raczej – roku „oszczędzania”. W zadumie spoglądał na dwieście dwadzieścia dolarów, na które niedawno wymienił pozostałe bahty.

– Nędza – szepnął. – Czysta nędza!

Wstał, podszedł do lustra i zaczął ni stąd, ni zowąd przypatrywać się swojej twarzy. Sądził, że jest przystojny, tak mu zresztą mówiły kobiety. Miał rysy dość regularne, nos odrobinę za długi, ale u mężczyzny to nie raziło; gęste, jasne włosy układały się w drobne fale, oczy miały trochę nieokreśloną barwę, czasem były niebieskie, czasem zielone. Usta pełne, wzrost... no, mógłby być wyższy, ale trudno, tego już nie zmieni. Ramiona szerokie, biodra wąskie. Nic dziwnego, że tak się spodobał Amarze. Ma gust dziewczyna.

W prezencie zaniósł jej drobne upominki cepeliowskie, które po prostu wziął z biura – leżało ich mnóstwo w gablotach i szafkach, nikt tego nie liczył. Stary Taj zawsze witał go u wejścia życzliwym uśmiechem na pomarszczonej twarzy, kłamał się, składał dłonie, a Leopoldowi było głupio, wołałby nie wiedzieć, że to ojciec Amary. Dał mu raz setkę bahtów, którą tamten przyjął jakby z wahaniem, rzucając dokoła wystraszone spojrzenia. Boi się – pomyślał Owiczak ze zdziwieniem. Kogo? Kiedy przyszedł następnym razem, Amara powiedziała z wymówką:

– Nie rób tego! Nie dawaj ojcu pieniędzy.

– Dlaczego?

– Przegra w karty. Albo wyda na koguty.

– Na co? – roześmiał się. – Kupuje na obiad?

– Nie! Na walkę kogutów. Można stracić cały majątek.

Nie lubił hazardu, więc nie poszedł oglądać bijących się ptaków, tej swoistej tajlandzkiej corridy. Pomyślał jednak, że nie po to zarabia, aby ktoś... I więcej już nie dawał staremu bahtów.

Siedział więc teraz nad tą swoją dolarową „nędzą” i aż go złość brała. Wiedział, ile zarabiają pracownicy zachodnioeuropejskich czy japońskich firm przemysłowych lub handlowych. Obliczył, że urządziłoby go, powiedzmy, dwieście dolarów miesięcznie odkładane regularnie przez parę lat. Z tego obliczenia wynikało jednak, iż musiałyby to być dolary dodatkowe. Prócz pensji. A skąd je wziąć? „Pantex” nie dawał absolutnie żadnych możliwości w tym kierunku. Magister Owiczak nie wynajmie się przecież do sprzątanía biura czy podlewania trawnika.

– Niech to szlag trafi! – warknął. Trzeba więc będzie oszczędzać. Żadnych weekendów do Pattaya nad morzem, bo tam za drogo, żadnych wyjazdów do Chiang Mai czy gdziekolwiek poza Bangkok, nawet do kina nie warto, wystarczy telewizja. Do załatwiania spraw służbowych w tym pięciomilionowym mieście Podbielski musi dawać samochód. Albo zwracać za przejazdy.

Tak zdecydował. Tylko że na drugi dzień były urodziny Barnickiego, które Janusz obchodził tak samo uroczyście jak imieniny. Więc poszli wieczorem, we dwóch, bo tamtym się nie chciało, do „Lido”.

– Ja stawiam – powiedział solenizant. – Zjemy coś, wypijemy, pogadamy.

Alkohol w tym gorącym klimacie jednym szkodził, innym pomagał. Barnicki pił w miarę i tylko przy okazji. Leopold nie stronił od kieliszka, wołał jednak nie wydawać na wódkę własnej gotówki. Zamówili kilka potraw, piwo i whisky. Trochę patrzyli na występy tancerek, trochę rozmawiali. Po godzinie Owiczak pozbył się dręczących go myśli o konieczności oszczędzania i nabrał dobrego humoru. Obgadali po kolei wszystkich kolegów z

szefem włącznie, sięgnęli do centrali w Warszawie, potem Janusz z rozrzewnieniem wspomniął dziewczynę, pozostawioną w kraju, która pisała długie, czułe listy.

– A ty? – popatrzył na swego towarzysza. – Masz kogoś w Polsce? Oj, prawda! Idiota ze mnie, przecież wiem, że jesteś żonaty i dzieciaty. Jakoś nigdy o nich nie opowiadasz.

Leopold wzruszył ramionami. Pomyślał o Amarze, krew zaczęła mu szybciej krążyć w żyłach. Nagle postanowił, że pójdzie dziś do niej, chociaż był dwa dni temu.

– O czym tu mówić? – burknął. – Na parę lat odbiłem się od rodziny, pewnie na urlop nie pojadę, bo drogo i daleko. Jak wrócę, to się zobaczy – dodał niejasno.

Barnicki westchnął, pokiwał głową.

– Tak to jest, bracie! Czas i odległość robią swoje. Ale pisze do ciebie, prawda?

– Żona? Tak, oczywiście. Wypijemy?

Po następnej godzinie Barnicki oświadczył, że idzie spać. Leopold odparł, iż pozostanie jeszcze chwilę, nie jest śpiący. W rzeczywistości chciał się go pozbyć, aby wymknąć się do Amary. Pożegnali się, Janusz zapłacił i wyszedł.

Owiczak odczekał kwadrans, dopił whisky i podniósł się z fotela. Alkohol podniecił go, krew pulsowała żywo. Spojrzał na zegarek, do północy brakowało kilku minut. Jeżeli śpi, to ją obudzę – pomyślał. Uległość dziewczyny sprawiła, że zaczął Amarę odrobinę lekceważyć.

Stanął na chodniku, czekając na rykszę lub taksówkę.

– Dobry wieczór – powiedział po angielsku ktoś tuż obok niego.

Nie zwrócił na to uwagi, spieszyło mu się.

– Pan Owiczak?

Teraz musiał się już odwrócić, zobaczyć, kto i co chce od niego. Spławię gościa – przemknęło mu przez myśl. Pewnie jakiś interesant, zna mnie z biura. Kolorowe, przyćmione światła u wejścia do „Lido” nie pozwalały dokładniej rozpoznać rysów stojącego przy nim mężczyzny.

– Czego pan chce? – rzucił niecierpliwie.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI